



# KURIER KZJ

Nr 28

Styczeń 2017

Niech nasza droga będzie wspólna.  
Niech nasza modlitwa będzie pokorna.  
Niech nasza miłość będzie potężna.  
Niech nasza nadzieja będzie większa od wszystkiego, co się tej  
nadziei może sprzeciwiać.

***Św. Jan Paweł II***

## KZJ – WSPÓLNOTA NA CAŁE ŻYCIE

Zastanawiam się czasem czym jest a czym może być KZJ? Po co istnieje? Angażując się od kilku lat w jego prace spostrzegłam, że jest on słaby organizacyjnie. Zastanawiałam się czemu ma mało członków, czemu należą do niego właściwie jedynie koleżanki 60+. Na czym ma polegać nasza działalność?

Bywa, że otrzymujemy odpowiedzi w zupełnie nieoczekiwanych momentach. Tak się stało i tym razem.

Kilka miesięcy temu w związku z chorobą śp. Basi Rogulskiej doświadczyłam niezwyklej siły KZJ. **Była to siła WIĘZI.**

Basie odwiedzały liczne koleżanki starając się zapewnić Jej, wspólnie z siostrzenicą, jak najlepszą opiekę. Pomoc ta polegała nie tylko na zwykłej obecności ale na pielęgnacji, pomocy w znalezieniu opieki medycznej, a w późniejszym okresie także na monitorowaniu leczenia szpitalnego, pomocy w posiłkach oraz starania o zapewnienie domu opieki.

To nie jedyny tego przykład. Kilka tygodni temu sama zapadłam na zdrowiu i jedynie dzięki serdecznemu zainteresowaniu jednej z koleżanek znalazłam się szybko w poradni pulmonologicznej. Dzięki niezwyklej uczynności innej – mogłam zapewnić Mamie konieczną asystę przy wizytach medycznych.

Dowiedziałam się także, że nie są to sytuacje odosobnione. Kilka dni temu jedna z nas opowiedziała mi o nawiązanych więzach z inną potrzebującą koleżanką o wcale nietłumym charakterze.

**Wtedy dostrzegłam z całą jasnością wartość jaką niesie z sobą KZJ. To wspólnota na całe życie.**

Jak wiele jest ona warta zdaje sobie sprawę każdy, kto, tak jak ja ostatnio, jest w potrzebie.

Warto więc odszukać w okolicy swojego miejsca zamieszkania wychowanki niepokalańskie. Warto się poznać, spotkać. W nietłumych kolejach losu możecie być dla siebie źródłem pocieszenia, rozmowy, pomocy a czasem po prostu dobrym towarzystwem.

**Jest w tym niestety jedna trudność- trzeba się wysilić na początku. Zadzwoń do dawno niewidzianych koleżanek. Umów się na spotkanie. Ale warto! Wychowanki niepokalańskie mogą doświadczać do końca życia benefitów wynikających ze wspólnych korzeni a zwłaszcza uniknąć życia w samotności.**

**Iza Gomza**

## UŁANI DZIĘKUJĄ NIEPOKALANEJ

Przedruk z Gościa Świdnickiego. Autor: Mirosław Jarosz

11 grudnia do domu sióstr Niepokalanek w Wałbrzychu przybyli ułani kontynuujący tradycję 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Wizyta związana była ze świętem patronalnym zakonu - Niepokalanym Poczęciem NMP.

To była już 4 wizyta ułanów u wałbrzyskich Niepokalanek, jednak po raz pierwszy tak uroczyste celebrowana. W tym roku szkoła przeżywa bowiem jubileusz 70-lecia istnienia.



Już o poranku kilku ułanów na koniach, w pełnej gali, wyruszyło z Książa by głównymi ulicami Wałbrzycha dotrzeć do szkoły niepokalańskiej na Sobięcinie. Tam w samo południe rozpoczęła się uroczysta Eucharystia.

Obecna wizyta wiąże się z pewnym niezwyklej wydarzeniem które miało miejsce 97 lat temu. Kiedy Polska po latach niewoli dopiero kształtowała swą niepodległość w dniach od 11 do 13 lipca 1919 r. 14 Pułk Ułanów walczył pod Jazłowcem z kilkukrotnie większymi siłami Kozackimi. Wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna.

W czasie tej bitwy porucznik Władysław Nowacki będąc przekonany, że wkrótce umrze miał widzenie. Kiedy z konia spadł zabity polski ułan Stanisław Sekuła z klasztoru wyszła kobieta ubrana na biało i podeszła do niego, aby zamknąć ułanowi oczy.

Niespodziewanie odwróciły się losy bitwy i Polacy odbili klasztor. Kiedy weszli do kaplicy i zobaczyli posąg Niepokalanej, porucznik Nowacki rozpoznał wizerunek Najświętszej Pani ze swego widzenia. Wydarzenie opisano w kronice pułkowej. Kawalerzyści przypisali więc swoje zwycięstwo Pani Jazłowieckiej i ogłosili ją swoją patronką, a pułk przyjął nazwę Jazłowiecki.

Jeszcze w trakcie walk żołnierz który miał widzenie, poprzysiągł że jeśli przeżyje, na święto Niepokalanego Poczęcia 8 grudnia przyjedzie podziękować Maryi. Przeżył i tak jak obiecał w pełnym bojowym rynsztunku wyruszył w liczącą ponad 130 km drogę ze Lwowa w którym stacjonował pułk do Jazłowca. To zważywszy na ciężkie zimowe warunki było dość karkołomnym przedsięwzięciem. Rok później towarzysze broni nie pozwolili jechać mu samemu. Od 1925, co roku, szwadron ułanów przejeżdżał niełatwą trasę, by 8 grudnia – w święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny oddać hołd swojej patronce. Przed obliczem Maryi stawiali się też wszyscy nowo mianowani oficerowie. W ten sposób nawiązała się wyjątkowa więź między pułkiem kawalerii a zgromadzeniem sióstr niepokalanek. Tradycję kontynuowano do II wojny światowej.

– Po wojnie na Dolnym Śląsku osiedliło się wiele osób z okolic Lwowa czy Jazłowca – mówi Wojciech Błęcki, prezes Stowarzyszenia kawalerskiego im. 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. – Jeszcze do niedawna pod Wrocławiem żyli kombatanci 14 Pułku, którego pielęgnujemy tradycję. Wspólnie z siostrami postanowiliśmy wrócić do tamtych wydarzeń. A ponieważ z Wrocławia gdzie mamy siedzibę do Szymanowa pod Warszawą gdzie obecnie siostry mają jest zbyt daleko postanowiliśmy, że będziemy przyjeżdżali do Niepokalanek w Wałbrzychu. To bardzo ważne by młode pokolenie, które kształtuje się w tutejszej szkole pamiętało o wydarzeniach, które stworzyły nasz etos narodowy.

## 8 STYCZNIA 2017 - WRZOSÓW

Na stronie ulanijazlowieccy.pl mamy wyczerpujący opis uroczystości w dn. 8 stycznia we Wrzosowie. Oto on:

### „Uroczystość przekazania proporca

W dniu 8 stycznia 2017 r. odbyła się w Kościele Parafialnym p.w. Błogosławionej Marceliny Darowskiej w Burakowie Wrzosowie, Gm. Łomianki, uroczyste przekazanie do ołtarza M.B. Jałowieckiej, proporca w barwach 14 p. UJ, na lancy kawalerskiej (będącej na uzbrojeniu pułku w wojnach lat 1919/1920). Przekazania proporca dokonali podczas Mszy św. v-prezes Rodziny 14 Pułku Ułanów Jałowieckich, p. Krzysztof Kunachowicz, por. Lukasz Olejniczak, Oficer Wychowawczy Batalionu w imieniu jego dowódcy i dowódca GRH w barwach 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, p. Marek Babulewicz. Procesję z darami ołtarza tworzyli PP. A. i W., Kupidura z Rodziny Jałowieckiej i P. M. Mieszkowska z Koleżeńskiego Zjednoczenia Jałowieckiego.



Uczestnikami uroczystości byli: Przełożona Generalna Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek, Matka M. Wawrzyna Chwedoruk, S. M. Anna Jarząbek oraz siostry z Klasztoru w Burakowie-Wrzosowie i in. klasztorów, delegacja Koleżeńskiego Zjednoczenia Jałowieckiego z Prezeską Zarządu Głównego p. Martą Mieszkowską, Członkowie Rodziny 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, środowiska 1 Polskiej Dywizji Pancernej gen. Maczka -10 Pułku Strzelców Konnych w którym służyli żołnierze 14 Pancernego Pułku UJ., Koła Kombatantów Łomianki, przedstawiciele Grupy Rekonstrukcyjnej w barwach 14 p. UJ w Sochaczewie z jej dowódcą Markiem Babulewiczem i grupa

harcerek - Skautów Europy ze swoim proporcem.

Władze Miasta i Gminy Łomianki reprezentowali płk. rez. Henryk Łazarski, Gł. Specjalista ds. obronnych oraz Radny Rady Miasta i Gminy, leśniczy Krzysztof Wawer, reprezentujący też wraz z leśniczym Jarosławem Staniszewskim, Dyrekcję Kampinoskiego Parku Narodowego.

Na zakończenie uroczystości, Prezes Rodziny 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich p. Jan Gromnicki, podziękował proboszczowi, ks. Kanonikowi Jerzemu Nikielowi za wyrażenie zgody na przyjęcie proporca i umieszczenie go przy ołtarzu, mieszczącym figurę M.B. Jazłowieckiej oraz za wspólną modlitwę w intencji poległych, zmarłych i żyjących Ułanów Jazłowieckich oraz Ich Następców z 14 Batalionu Ułanów Jazłowieckich. Przypomniał też intencję jaka kierowała się Rodzina Jazłowiecka, fundując i przekazując proporzec w barwach pułku do obecnego Kościoła Parafialnego w Burakowie - Wrzosowie, dawnej kaplicy Klasztoru Sióstr Niepokalanek, przekazanej przez Zgromadzenie na rzecz parafii, p.w. jego Założycielki. A było nią ustalenie m. Generalną Przełożoną Zgromadzenia Niepokalańskiego z udziałem Wychowanek Jazłowieckich i Dowódcą 14 Pułku, płkiem. E. Godlewskim, o obecności w kaplicach klasztornych - miejscach kultu Pani Jazłowieckiej, emblematów 14 Pułku. Przypomniał też że przy ołtarzu tegoż kościoła znajduje się votum Batalionu, ryngraf autorstwa b. jego oficera, mjr. J. Miąsko. Jak również że 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, kończył kampanię wojenną 1939 roku, po walkach od Poznania po Warszawę, bitwą szarżą pod Wólką Węglową jak też że polegli w nich żołnierze pułku spoczywają na pobliskich Cmentarzach Wojennych w Izabelinie i in. (w Puszczy Kampinoskiej) oraz Cm. Parafialnym Łomianek - Kiełpinie.

Po zakończeniu części oficjalnej, kościelnej, Siostry Niepokalanek z tegoż klasztoru podjęły uczestników w swym prefektarzu świątecznymi wypiekami. Spotkanie rozpoczęło przemówienie Matki Przełożonej Generalnej, w którym podziękowała też uczestnikom, szczególnie delegacji Batalionu, za udział w uroczystości, złożyła wszystkim życzenia noworoczne."

Od siebie dodam tylko, że w ramach podziękowań po Mszy św. wtrąciłam swoje „trzy grosze” i w króciutkich słowach podziękowałam w imieniu kolejnych pokoleń wychowanek/ków współczesnym „ułanom” za kontynuowanie i pielęgnowanie tradycji, co powoduje, że to, co dla nas – dorastających w epoce komunizmu – było wspaniałą, ale zamierzchną przeszłością, do której (wydawało by się) nie ma powrotu, to dla obecnych wychowanek nabiera życia, staje się realne i przybliża im piękne patriotyczne tradycje w życiu codziennym

*Marta Mieszkowska.*

## 11 GRUDNIA 2016 ROKU, OPŁATEK NA KABATACH

Tegoroczna trzecia, „różowa” niedziela adwentu, tradycyjny dzień opłatkowych spotkań wychowanek i wychowanków Sióstr Niepokalanek wypadła jedenastego grudnia. Spotkanie rozpoczynała Msza św. tym razem o godzinie 12, ale już kilka kwadransów wcześniej czekały na nas gościnnie otwarte drzwi Domu, Siostry, które specjalnie w tym dniu przyjechały, klasy gdzie na niziutkich, dzieciennych krzeselkach można było odpocząć,



posiedzieć, porozmawiać. Były z nami S. Macieja, S. Mirosława, S. Marta, S. Anna, S. Stella

Mszę św. celebrował i wygłaszał okolicznościową homilię ksiądz kapelan, a my, wychowanki, czytałyśmy teksty liturgiczne, Agnieszka Kalinowska pięknie śpiewała psalm responsoryjny, a Marzena Skwierczyńska czytała ułożoną przez siebie modlitwę powszechną.

Po Mszy św. nasz roześmiany i rozgadany tłumek przenosi się do refektarza. Jest taki gwar, że Siostry z trudem nas uciszają tradycyjnym, mosiężnym dzwonkiem aby można było

przeczytać stosowny fragment Ewangelii i życzenia przekazane przez Matkę Wawrzynę, która także i w tym roku nie mogła być z nami. List Matki zamieścił również 54 nr Głosu Koleżeńkiego. Wysłuchujemy też serdecznych wystąpień Siostry Maciei, przewodniczącej koła warszawskiego Aldony Spirzewskiej, Marty Mieszkowskiej, p. Jana Gromnickiego i życzeń od kół pozawarszawskich.

Stałym i oczekiwanym punktem naszych spotkań jest dzielenie się opłatkiem z Siostrami i wszystkimi obecnymi wychowankami i przyjaciółmi. Jest okazja, obok składania sobie życzeń, zamienić choć kilka słów z dawno nie



widzianymi koleżankami z klasy, poznać przedstawicielki innych roczników, wspominać.

W refektarzu nie mogło zabraknąć smakolepków. Pięknie nakryte stoły były obficie zastawione ciastkami i owocami. Siostry dbały aby nie zabrakło gorącej kawy czy herbaty.

Serdecznie dziękujemy Siostram za gościnę, za serdeczną, domową atmosferę, poświęcony nam, kosztem własnego wypoczynku, czas. Dziękujemy za dzielenie naszych radości i smutków. Bóg zapłać.

**Marysia Harasymowicz**



## OPŁATEK RODZINY JAZŁOWIECKIEJ

17 grudnia 2016 roku w klasztorze Sióstr Niepokalanek odbyło się tradycyjne opłatkowe spotkanie Rodziny Jazłowieckiej, w którym wzięły udział, zaproszone przez p. Jana Gromnickiego, przedstawicielki KZJ – Basia Ciszewska, Marta Mieszkowska i Marysia Harasymowicz.

W spotkaniu brali udział liczni przedstawiciele Rodziny Jazłowieckiej, spadkobiercy tradycji 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich czyli przedstawiciele 14 Batalionu Ułanów Jazłowieckich ze Stargardu Szczecińskiego, członkowie grup rekonstrukcyjnych w historycznych strojach, byli też konni ułani!

Początkiem uroczystości było przyjęcie przez Matkę Generalną Wawrzynę meldunków od pocztów

sztandarowych wszystkich formacji. Było też gromkie „Czołem Matko Generalna”. Tegoroczny program miał jeszcze jeden wzruszający punkt, mianowicie na wniosek Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej sztandar 14 Batalionu Ułanów Jazłowieckich został udekorowany Krzyżem AK II Obrony Lwowa. Aktu tego dokonał uczestnik obrony, bardzo już wiekowy porucznik Adam Gajda z Wrocławia. Tę część uroczystości zakończyła defilada przed frontem szymanowskiego pałacu i wszyscy udali się do kaplicy na uroczystą Mszę św. w pięknej wojskowej oprawie celebrowanej przez franciszkanina ojca Józefa Rejcha.

W szkolnym refektarzu Siostry przygotowały prawdziwą wigilijną m.in. z barszczem z uszkami, rybą, kapustą z grzybami, pierogami, kompotem, makiem z bakaliami, pierniczkami. Zanim zasiedliśmy do tej uczyty było oczywiście odczytanie fragmentu Ewangelii, życzenia i dzielenie się opłatkiem. Były też kolędy.

Uroczystości zakończyły się w auli pod kaplicą. Było krótkie zebranie Rodziny Jazłowieckiej, prezenty i wykonane przez szymanowskie uczennice piękne, nietypowe przedstawienie jasełkowe. Można powiedzieć, że były to jasełka adwentowe, no, może adwentowo-bożonarodzeniowe. Zaczynały się bowiem scenami z udziałem młodziutkiej Maryi w domu rodzinnym z rodzicami, w gronie przyjaciółek, u Elżbiety, w rozmowie z Józefem zaskoczonym Jej macierzyństwem. Dopiero potem następowały sceny według powszechnie stosowanego scenariusza.

Szkoda, że ten piękny spektakl mogło obejrzeć tak niewielkie grono osób.

**Marysia Harasymowicz**

## ŚWIĘTA U DZIECI SIOSTRY DANIELI



Jak co roku odbyła się w świetlicy wigilia. Dzieciaki od początku grudnia podpytywały o prezenty, cieszyły się na wspólne świętowanie. Tydzień wcześniej własnoręcznie piekły pierniki na miejską wigilię. Starszaki, gimnazjaliści wałkowali i wyrabiali ciasto, a dzieci młodsze wycinały pierniki i dekorowały. Śmiechu było co nie miara - a świetlica cała w mące! Cóż, podobno dzieci są albo czyste albo szczęśliwe. Tym razem były szczęśliwe.

Na wigilię wszystkie dzieci się wystroiły, składano sobie życzenia, śpiewano kolędy i zajadano się wigilijnymi potrawami. Dzieci dostawały imienne prezenty i było szaleństwo radości. Wzajemne pokazywanie co które dostało. Śmiech, krzyk, rejwach i przymierzanie nowych ubrań, zabawy nowymi zabawkami. Oto co pisze do Was Siostra Daniela, która stworzyła i prowadzi tę

świetlicę:

'W tę świętą noc nie sposób nie pomyśleć o Was Wszystkich, Naszych Dobroczyńcach, Sympatykach ludziach życzliwych serc i wielkiej hojności, dzięki której możemy pracować z dziećmi. Wam Wszystkim życzymy pięknych, radosnych świąt, Miłości na co dzień, ludzkiej życzliwości, Marzeń na granicy realności, wielkich wyzwań, które pozwalają przekraczać granice możliwości i szczęścia najwykolejszego na co dzień i od święta. I chwili odpoczynku - bardzo o Was wszystkich pamiętamy!!! i Dziękujemy!!!'

## DZIEŃ PODOBNY DO DNIA,

**Autorka: Anna Bańkowska (z d. Suchocka)**

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tymi słowami, wypowiedzianymi głośno i dobitnie, tak aby dotarły do największego nawet śpiocha, budzi nas codziennie siostra mistrzyni. Która to godzina? Coś koło szóstej. Te, które chcą wziąć udział w mszy św., wyskakują czy raczej wycedzają się z łóżek, mrużąc pod nosem: - Na wieki wieków, amen.

Reszta przewraca się na drugi bok, rozkoszując się perspektywą dodatkowych trzech kwadransów snu. Trzech kwadransów – jeśli oczywiście mszę odprawia nasz kapelan, bo gdy przyjeżdża ksiądz profesor Obertyński, trzy kwadransy kurczą się do dwóch.

Na temat tego, kto wstaje na mszę, a kto nie, nie słyszałam przez cały czteroletni pobyt w Szymanowie ani jednego komentarza, w każdym razie ze strony sióstr. Były wśród nas takie, które wstawały codziennie i takie, które

uczestniczyły tylko w mszy niedzielnej. Nigdy nie miało to wpływu na ocenę z zachowania czy sposób traktowania przez siostry.

Drugie budzenie to już sprawa samorządu. Starsze koleżanki z rady internatu bez ceremonii ściągały kołdry ze śpiochów, które na dobre trzeźwiła dopiero zimna woda do porannego mycia (ciepłą wydawano tylko wieczorem). Toteż myłyśmy się jak kot łapą, starając się ograniczyć kontakt z wodą do minimum, po czym na ciemne, codzienne ciuchy wkładałyśmy obowiązkowe granatowe fartuchy z marynarskimi kołnierzami. Pod koniec tygodnia te fartuchy wydzielają już charakterystyczny zapaszek niedomytego panieńskiego ciała, jako że o dezodorantach nikt wtedy nie słyszał. W sobotę wieczorem długie drągi z fartuchami wystawiało się na balkon do wietrzenia, gdzie tkwiły do poniedziałku.

Oczywiście przy toalecie porannej obowiązywała absolutna cisza. Z tego samego powodu, co wieczorem: pierwsze słowa powinny być skierowane do Boga. A poza tym ten, kto wstawał później, musiał pamiętać, że na dole trwa msza św.

Ustawione w pary przez starsze koleżanki, wędrujemy do kaplicy na błogosławieństwo i pacierz. Wchodzimy zawsze tylnymi drzwiami, przemykając się koło klęcznika wiekowej, wspartej na lasce s. Idalii. Wysoka, zgarbiona zakonnica, wychowana we Francji córka powstańca styczniowego, to prawdziwy postrach uczennic – może dlatego, że słabo mówiąc po polsku, pomagała sobie wymachując groźnie laską?

Od strony drzwi, na prawo, modlą się w swych klęcznikach siostry białe, na lewo, pod oknami – szafirowe. Oba chóry jednakowo wkładają do kaplicy piękne szafirowe peleryny. Wyglądają w nich zjawiskowo – jak sama Matka Boska z obrazka...

Ksiądz kapelan wychodzi już z kielichem do zakrystii, milknie fisharmonia. W ustalonym porządku wysuwamy się z ławek – para na lewo, para na prawo – i opuszczamy kaplicę, udając się na śniadanie do refektarza. Dopiero teraz wolno rozmawiać, ale czas nagli, zaraz dzwonek, więc na dłuższe pogawędki brak czasu. Każda zmywa po sobie i idzie na salę gimnastyczną, na apel z siostrą dyrektorką. Funkcję tę pełniła wówczas s. Brygida – wysoka, koścista, blada, o przenikliwych niebieskich oczach i pięknych klasycznych rysach. Uczyla łaciny i była bardzo surowa, ale sprawiedliwa. Nigdy nie podnosiła głosu, nie musiała. Wydawała nam się zawsze bardzo nieprzystępna i mało która miała odwagę zagadnąć ją na tematy „pozasłużbowe”, bo prawdę rzekłszy, przypominała nam trochę śmierć z jasełek. A jednak przy jakiejś okazji musiałam się z nią bliżej zetknąć, bo zdążyłam ją polubić i to z wzajemnością, mimo że mnie nie uczyla. Po wielu latach z siedmioletnią córeczką przyjechałam do Nowego Sącza. Akurat odbywał się karnawałowy bal przebierańców. S. Brygida, już za moich szkolnych lat nie najmłodsza i schorowana, była wychowawczynią jednej z klas. Chociaż z wyglądu niezmieniona, tryskała wesołością i pomysłami, najwyraźniej uwielbiana przez uczennice i bardzo z nimi zżyta. Wszędzie jej było pełno, interesowała się kostiumami, osobiście przebrała moją córkę za „lalkę z pudełka”, pilnowała, żeby wszystkie się dobrze bawiły. Kiedy opowiedziałam to moim postarzanym o dwadzieścia lat koleżankom, nie chciały wierzyć...

Na sali gimnastycznej ustawiałyśmy się klasami. S. Brygida przemawiała do nas ze szczytu marmurowych schodków, gdzie jej towarzyszyły te z nauczycielek, które miały nam coś do zakomunikowania. Parę stopni niżej stała prezeska internatu – zwykle uczennica X klasy. Po wysłuchaniu komunikatów występowały prezeski poszczególnych klas i składały raport z obecności i stopni, otrzymanych poprzedniego dnia przez jej koleżanki. Tyle dwój, tyle trój, tyle czwórek. Te, które dostały piątkę, wymieniano z nazwiska. Na apelu widać było jak na dłoni, czy wszystkie są przepisowo ubrane i uczesane. W razie jakichkolwiek zastrzeżeń delikwentkę odsyłano, aby poprawiła to, co uznano za niewłaściwe. Na koniec krótka modlitwa i wymarsz do klas.

Z jednym wyjątkiem. Codziennie inna klasa na pierwszej lekcji sprzątała cały internat. Z obowiązku tego zwalniano tylko maturzystki. Każda uczennica miała z góry wyznaczone nie tylko pomieszczenie do sprzątnięcia, ale także czynności, np. wycieranie kurzy, zmywanie podłogi, zamiatanie. Żeby było sprawiedliwie, co miesiąc następowała zmiana i te, które np. sprzątały ubikacje, przechodziły do sypialni. Nadzorowała to wszystko jedna z sióstr szafirowych, ale tylko jako ostateczna instancja, gdyż władza „wykonawcza” należała do grupowej, wyznaczonej

spośród koleżanek. Dopiero gdy ona wszystko sprawdziła („o, tam w rogu zostały „koty”, a te ścierki kto za ciebie wypłucze?”), wolno było wrócić do klasy i może jeszcze czasem powtórzyć to i owo. W zasadzie jednak czynności tak rozkładano, aby starczyło ich na pełną godzinę lekcyjną. Była to znakomita szkoła staranności i organizacji pracy. Zdarzyło mi się po latach, że rozpoznałam dawną wychowankę niepokalańską po sposobie, w jaki prowadziła swój pensjonat.

Dwa razy w roku – przed świętami – odbywały się tak zwane „wielkie porządki”. To już była cała batalia, mająca na celu doprowadzenie domu do błyszczącego stanu. Brały w tym udział wszystkie klasy i podobnie jak przy zwykłym sprzątnięciu, każda miała wyznaczone zadanie. Myło się wtedy lamperie i drzwi (ale nie okna) czyściło jakimś paskudztwem wszystkie okucia, a na koniec – sama przyjemność: rozsypywało się strużynki wosku na sali rekreacyjnej, po czym internat tańczył, a podłoga nabłyszczała się sama. Wielkie porządki były znakiem, że niedługo święta i wyjazd do domu.

Po trzeciej lekcji następowała duża – półgodzinna – przerwa na drugie śniadanie w refektarzu. Lekcji bywało przeważnie sześć, najwyżej raz w tygodniu siedem. Po upragnionym ostatnim dzwonku biegniemy na wyścigi przyczesać się i umyć ręce. Przy schodach stoi dyżurna i sprawdza! Co też dziś na obiad? Jest deser? (bywał dwa razy w tygodniu). Do kogo przyszła paczka? A może dostanę list? Paczki leżały zawsze w kącie ciemnego refektarza. Przysłane w nich jedzenie wolno było trzymać wyłącznie w zamykanych na klucz szufladach stołu. Siostra otwierała je tylko na drugie śniadanie i kolację. Przysyłano nam wtedy z domu takie specjały jak domowy smalec, dzemy, ciasta, czasem trochę słodyczy. Nadejście paczki było wielkim świętem i najbliższe przyjaciółki krążyły wokół takiej szczęściary, asystując przy rozpakowywaniu. Dawniej w niepokalańskich zakładach panował zwyczaj, że wszystkie domowe przysmaki składano razem i wspólnie się je zjadało. Po wojnie zwyczaj ten uchylono prawdopodobnie dlatego, że miejsce łakoci w paczkach zajęły produkty odżywcze. Mało kto dostawał czekoladę. A z dzieleniem się bywało różnie: zwykle częstowało się najbliższe sąsiadki, ale nie sposób było obdzielić cały stół.

Obiad zaczynał się od obowiązkowej łyżki tranu – czekały już przygotowane na talerzach do zupy. Składał się z dwóch, czasem trzech dań. Mięso w postaci kotleta czy kawałka pieczeni w sosie (bardzo smacznym) podawano nam tylko w niedzielę, poza tym raz w tygodniu dostawałyśmy danie półmiesne – jakąś zapiekankę, kaszanekę, bigos. Dla tych, które tego potrzebowały, była dieta. Bardzo skąpo wydzielano nam masło – czasy były ciężkie – za dodatkowe porcje rodzice dodatkowo płacili. Do typowych niepokalańskich przysmaków należał tzw. „kalosz”, czyli smażony z kminkiem ser, bardzo przez nas lubiany, kostki z kaszy jęczmiennej z marmoladą na wierzchu oraz tzw. „flaczki” z jarzyn. Tych ostatnich nie cierpiałam, poza tym smakowało mi prawie wszystko. Na tym skromnym, lecz kalorycznym wikcie nawet ja – wieczna chudzina – przybrałam na wadze. Apetyty dopisywały wszystkim, ale absolutnie nikt nie chodził głodny.

Listy przynosiła pod koniec obiadu siostra mistrzyni, tak żeby można je było przeczytać podczas rekreacji.

Po posiłku, podczas którego do stołu podawały dyżurne, czyli refektarki, wyznaczona grupa zabierała się do zmywania. Tak samo jak przy sprzątnięciu obowiązywał ścisły podział pracy. Talerze myła czteroosobowa ekipa: pierwsze stanowisko to „świnkowanie”, czyli zgarnianie szczołeczką resztek do wiadra przeznaczonego dla świń. Następnie każdy talerz był starannie i myty, i płukany w trzech, często zmienianych wodach i odstawiany na osączarkę, gdzie przejmowała go trzysobowa brygada wycierających. Nie lubiłam wycierać, bo ścierki szybko wilgotniały i wszystko sprowadzało się do rozmazywania wody. W białym refektarzu oddzielny zespół zmywał w trzech cebrzykach „srebro”. Wreszcie po dwie osoby wyznaczano do sprzątnięcia każdego z refektarzy i nakrywania stołów do następnego posiłku. Wszystkie te czynności trwały zwykle przez całą rekreację, szczególnie gdy na kogoś (zwykle na płuczącą w ostatniej wodzie) przypadło sprzątnięcie samej zmywalni, łącznie z myciem podłogi.

W tym czasie reszta koleżanek szła do parku na obowiązkowy spacer, czyli rekreację. Za specjalnym pozwoleniem można było wybrać się na wieś, np. do fatalnie zaopatrzonego sklepiku. Wstęp w tym czasie na górę był surowo wzbroniony. Wejścia na schody strzegła zawsze dyżurna z rady, skrupulatnie przepędzając te, które z jakiegoś powodu chciały się wymigać od spaceru. Tylko w razie wyjątkowo złej pogody rekreację spędzało się na dolnej sali, zresztą trwała niecałą godzinę.



O czwartej zaczynało się odrabianie lekcji, czyli studium. Trzeba było siedzieć w klasie i zajmować się wyłącznie nauką. Na podium przy stoliku siedziała siostra, czasem postulantka albo dziewczyna z rady i pilnowała ciszy. Przez pierwszą godzinę każda uczyła się sama, nie wolno było się porozumiewać, wychodzić na korytarz, czytać książek czy pisać listów. Nazywało się to „żelazne studium” i nie tolerowano żadnych wykrętów. Drugiej godziny – aż do błogostawieństwa (czy sezonowego nabożeństwa) – nie traktowano już tak rygorystycznie. Można było uczyć się wspólnie – byle nie w klasie – ale na przykład w bibliotece, czy którejś z pracowni, albo zajmować czymkolwiek, byle po cichu. Czasem, zwłaszcza w młodszych klasach, siostra sprawdzała, czy pogrążona w lekturze panienka naprawdę ma odrobione lekcje. Doskonale się orientowała, kto uważa, że odrabia się tylko pisemne. Nie ukrywam, że zaliczałam się do takich osób i nieraz pozbawiano mnie za to prawa do wypożyczenia książek.

Nabożeństwo wieczorne – podobnie jak poranna msza – nie było obowiązkowe, natomiast zawsze odmawialiśmy wspólnie Anioł Pański w południe i wieczorem. Na głos dzwonu zastygało się w miejscu, nawet na środku korytarza.

O 18.30 rozlegał się dzwonek na kolację – najprzyjemniejszy posiłek w ciągu dnia, kiedy to już wszystkie napięcia opadły. Po spacerze i studium byliśmy zresztą porządnie wygłodzone. Potem – pół godziny rekreacji wieczornej na sali. Siostry - Izabela albo Ludmiła zasiadały do fortepianu i wygrywały wiecznie te same walczyki, fokstroty i tanga. – Proszę bardzo, panie proszą panie! Zawsze były jakieś amatorki tańców w parze z koleżanką, reszta plotkowała po kątach albo usiłowała zaszyć się gdzieś z książką. W rekreacji wieczornej nie brały udziału te, którym wypadł dyżur przy zmywaniu czy obieraniu kartofli.

Punktualnie o wpół do ósmej – dzwonek. Idziemy na pacierz, a potem już tylko mycie – oczywiście w ciszy (oj, trudno ją było zachować...) O ósmej młodsze uczennice mogły jeszcze pójść na pół godziny do klasy – pouczyć się albo poczytać. Kto z tego rezygnował, musiał iść spać. Niektóre klasy znajdowały się na dole, żeby tam zejść, należało na szlafrok włożyć fartuch. Starszym dziewczętom pozwalano siedzieć do wpół do dziesiątej, a maturzystkom nawet do jedenastej i tylko one dostawały jeszcze „podkurek” – małą przekąskę na podtrzymanie nadwątłych nauk sił. Niektórym czasu na naukę było ciągle mało, inne znów nie mogły się oderwać od ciekawej książki. Tylko jednak naprawdę starym wyjadaczkom udawało się gdzieś ukryć przed argusowym okiem siostry albo nadgorliwej koleżanki z rady. Wspominałam już o „księżycowym”, ale największe możliwości stwarzały dopiero budki i przemycona z domu latarka.

Zasypialiśmy natychmiast kamiennym snem. Koło północy przez pogrążony w ciemnościach internat przesuwiała się biała postać ze świeczką. To wyznaczona siostra obchodziła cały dom, sprawdzając, czy wszystko w porządku, czy nikogo nie brakuje, czy ktoś nie płacze, nie czyta pod kołdrą przy latarce, czy chore w infirmerii czegoś nie potrzebują.

Nie każdy dzień wyglądał zupełnie tak samo. W piątki na przykład w czasie wieczornej rekreacji (a może na drugiej połowie studium – tu mnie pamięć zawodzi) odbywały się „naprawki”. Każda panna przynosiła do klasy, co tam miała do zacerowania czy zaszycia (nosiło się wtedy bawełniane pończochy, które wciąż wymagały cerowania) i pod kierunkiem siostry doprowadzała garderobę do porządku, słuchając czytanej na głos książki. Nie pomagały wykręty, że ma się wszystko w porządku. Sama nie masz, to pomożesz koleżance. Kto umiał, mógł w tym czasie haftować, szydełkować czy robić na drutach.

W soboty dla odmiany „żelazne studium” zaczynało się później, bo zaraz po rekreacji odbywały się porządki. Wszystkie rzeczy w obu szafkach musiały być poskładane w kostkę, w dwa rzędy, nic nie miało prawa wystawać, a już broń Boże, żeby upchać coś w kącie. Oj, ciężką rękę miała skądinąd przedobra siostra Michalina... Bez litości wywalala na podłogę całą zawartość szafki, w której coś się jej nie spodobało. Niestety nieraz mnie to spotykało. Często wychodziły przy tej okazji na jaw inne grzeszki – np. chomikowanie jedzenia za stosikiem bielizny. Poza porządkiem w szafkach należało jeszcze wyczyścić „na błysk” buty i poukładać książki w pulpicie szkolnym. Potem specjalna ekipa samorządowa dokonywała systematycznej kontroli i wystawiała stopnie, które składały się na okresową ocenę z porządku.

Również w sobotę, po wieczornym myciu oddawało się do prania brudną bieliznę. Na korytarzu przy schodach ustawiano duże kosze, do których wrzucało się posegregowane rzeczy. O żadnych indywidualnych przepierkach nie mogło być mowy, zresztą nie było na to warunków. Ciepłą wodę wydawano tylko raz dziennie i tylko do mycia. Brakowało też czasu, bo koleżanka czekała na zwolnienie miednicy i mogłaby nie zdążyć umyć się do dzwonka.

W niedzielę pozwalano nam wylegiwać się o całe pół godziny dłużej! Ba, dla tych, które wstawały codziennie na mszę, była to cała godzina. Potem zaczynała się rewia mody. Fartuchy wietrzyły się na balkonie, a my wyciągałyśmy z szafek kolorowe bluzki i sweterki. Nie miałyśmy tego wiele, ale wymieniałyśmy się między sobą i tak wystrojone schodziłyśmy na mszę. Niedzielną zawsze była śpiewana. Znałyśmy kilka mszy gregoriańskich (jakże mi ich teraz brakuje!), poza tym siostry Irena albo Benvenuta śpiewały coś ekstra. Ksiądz kapelan wygłaszał krótkie, konkretne kazanie, dając nam jasne wskazówki: po pierwsze, po drugie, po trzecie. A ująwszy to wszystko razem – po pierwsze, po drugie, po trzecie. Lubiliśmy te kazania, znacznie krótsze od tych w parafiach. Za to msza zawsze ciągnęła się długo – ksiądz kapelan każde słowo wymawiał bardzo starannie. Dlatego niektóre z nas tęskniły za księdzem Obertyńskim – dawnym oficerem, chociaż w dzień powszedni nie mogłyśmy się przez niego wyspać. U niego zawsze szast, prast – i po wszystkim. A skoro tak, to już lepiej wstać na mszę i podziwiać jego precyzyjne, wojskowe ruchy, tak bardzo kontrastujące ze zwalistą posturą...

Po niedzielnym śniadaniu szło się do klas – ale nie na obowiązkowe studium, tylko każdy robił, co chciał. Raz w miesiącu odbywał się zjazd rodziców. Nie było jednak mowy o snuciu się po korytarzach czy warowaniu przy furcie. Dyżurowała tam starsza koleżanka i wywoływała z klasy tę, do której ktoś przyjechał. Wtedy schodziło się na dół i zajmowało z rodzicami miejsce przy stoliku w sali gimnastycznej albo szło z nimi na spacer do parku. Nie zawsze i nie każdy tęsknił do odwiedzin. Pamiętam, że kiedyś tak narozrabiałam, a może nałapałam dwój, że absolutnie sobie tego nie życzyłam. Już w sobotę przypuściłam szturm do Pani Jazłowieckiej. - No, Matko Boska, jak mnie kochasz, to zrób coś, nie dopuść, ja to przecież naprawię, ale teraz uczynić cud... I Ty święta Teresko, Patronko od bierzmowania, pokaż, co potrafisz, tylko ten jeden raz...

I zlitowały się! Nikt nie przyjechał! Po paru dniach dostałam list od Mitki: „Wiesz, Tatuś do Ciebie wyjechał, ale był straszny mróz, a pociągi mocno opóźnione, więc zawrócił”. I nie wierzyć tu w cuda! Do dziś mam w uszach huk kamienia, który spadł mi wtedy z serca, chociaż absolutnie nie pamiętam, czym zawiniłam.

Rodzice wyjeżdżali zwykle po wspólnym obiedzie, podawanym wcześniej niż w dzień powszedni. W niedzielę nie było drugiego śniadania, tylko o czwartej, po dłuższej rekreacji dostawałyśmy podwieczorek. Potem aż do wieczornego nabożeństwa miałyśmy czas wolny. Odbywały się wtedy różne zebrania, można było czytać, gadać itp., a nawet przejść się po okolicy, oczywiście za specjalnym pozwoleniem. Słowem - nabrać sił, bo jutro poniedziałek.

**Koleżeńskie Zjednoczenie Jazłowieckie**, ul. Zaruby 2, 02-796 Warszawa,  
nasz.kzj@gmail.com, [www.naszKZJ.wordpress.com](http://www.naszKZJ.wordpress.com), [facebook.com/niepokalanki.kzj](https://facebook.com/niepokalanki.kzj)  
**Redakcja Kurierka: Beata Rudnicka, 535 41 22 97, beatar077@gmail.com**